

Być prawdziwie

Z KRYSYNA JANDĄ rozmawia Jacek Antczak

- Gwiazdą piosenki stała się pani tak naprawdę w 1986 roku, kiedy wraz z Magdą Umer zrealizowała pani legendarny dziś spektakl „Biała bluzka” Agnieszki Osieckiej. Ale ponoć mieliśmy szczęście, bo jedyny raz w życiu nie posłuchała pani Andrzeja Wajdy, który mówił: Nie rób tego...

- Robiąc „Białą bluzkę” wiedziałam, że Agnieszka Osiecka zawsze korzysta z życia, że ubiera historie prawdziwe lub zasłyszane w piosenki i spektakle. Ale przy „Białej bluzce” nie miałam pojęcia, że za faktami, o których opowiadam, za osobami, które gram, kryją się prawdziwe sytuacje i ludzie. Część z nich uznała, że jest to krzywdzące i zostaną rozpoznani w tej opowieści. Ale jak mi się wydawało wtedy i jak mi się wydaje teraz, nikt nie został rozpoznany. Klucz do tego spektaklu zna tylko kilka osób i naprawdę nie ma to znaczenia, czy to jest, czy nie jest prawdziwe. Pierwowzory postaci są dziś bardzo znanymi, publicznymi ludźmi i przypomnienie, kto jest kto, nie ma sensu. Ale wtedy im się wydawało, że to zostanie odczytane wprost, na szczęście tak się nie stało.

- Andrzejowi Wajdzie nie chodziło więc o wyraz artystyczny przedstawienia tylko o personalia?

- Tak. Ktoś przyszedł do niego z prośbą, aby interweniował u mnie, u Magdy Umer i dyrektora teatru Ate-neum, żeby ten spektakl zatrzymał.

- Nie posłuchaliście i „Bluzka” osiągnęła taki sukces, że jeździły za nią grupy fanów, jak za idole rockowym.

- Siła „Białej bluzki” polegała na tym, że Agnieszka zarejestrowała w tej opowieści pewien stan psychiczny młodych ludzi. Chodziło o nieumiejętność życia w czasie stanu wojennego, o pokazanie niemożności znalezienia się w całej tej sytuacji. W tamtym momencie było to bliskie młodym ludziom, rozumieli to i uznawali, że to jest o nich.

- Potem grała pani Modrzejewską, z wielkimi emocjami podchodziła pani do roli Marii Callas, teraz na afiszu jest opowieść o Marlenie Dietrich. Skąd to zamiłowanie do wcielania się w role legendarnych artystek teatru i sceny?

- Nie szukam ich sama, tylko przychodzą do mnie ludzie, najczęściej tłumacze, którzy mają licencje na tekst i uważają, że w moim wykonaniu ten utwór będzie miał najlepszą oprawę. Tak się stało w wypadku „Marii Callas”, a teraz przy Marlenie Dietrich. Jan Łomnicki, który przygotowywał „Modrzejewską”, bardzo długo szukał aktorki, która mogłaby to zagrać. Nie robił tego filmu, mimo że scenariusz był gotowy dużo wcześniej, bo nie mógł sobie nikogo w tej roli wyobrazić i pewnego dnia zdecydował, że to będzie ja. Myślę, że mechanizm jest prosty, twórcy szukają kogoś, kto odda tym tekstom wszystko i myślą, że ja jestem taką osobą. W jakimś sensie mają rację. Przy czym, w tych trzech przypadkach zgodziłam się dlatego, że to nie były opowieści czysto biograficzne. Nawet w przypadku „Modrzejewskiej” nie była to opowieść o Helenie Modrzejewskiej, tylko przede wszystkim o tym zawodzie, o losie człowieka w tym zawodzie. Tak samo

było ze spektaklem o Callas i teraz o Marlenie Dietrich. Chodzi o dużo więcej niż tylko opowiadanie o tej postaci. Za każdym razem jestem wdzięczna, że to ja referuję tak ważny temat, temat relacji między widownią a artystą, temat sztuki. Właściwie wszystkie te role objaśniają czy mają udowodnić jedno proste założenie, które dla mnie jest prawdziwe i bardzo istotne, że życie bez sztuki jest mniej ważne.

- Istnieją piosenki piękne i ważne. Do tej drugiej kategorii należą pani piosenki z dwóch filmów, o Janku Wiśniewskim z „Człowieka z żelaza”, i brzmiały frywolnie „Zgadnij kotku, co mam w środku” ze wstrząsającego „Przesłuchania” Ryszarda



da Bugajskiego. Są piosenki, które mogą być w życiu nie tylko piosenką, ale i punktem odniesienia...

- W spektaklu śpiewam piosenkę „Lili Marlene”, piosenkę właściwie o niczym, ale dlatego, że Dietrich śpiewała ją dla żołnierzy alianckich na frontach w czasie II wojny światowej, stała się symbolem życia. Są więc takie piosenki. Myślę, że co by nie mówić, to w pewnym momencie piosenka z „Człowieka z żelaza” była taką dla mnie.

- Też pod względem literackim nie jest najlepsza...

A najbardziej zdumiewające i śmieszne jest to, że ja nagrywając ją, w pośpiechu zaśpiewałam: „Nad stoczną sztandar z czerwoną kokardą” zamiast „z czarną”. Poniważ układało się to lepiej w rytmie, bezmyślnie zaśpiewałam tę „czerwoną kokardę” i nikt tego nie zauważył z wyjątkiem autora. I to do dzisiaj tak brzmi, a przecież czerwona kokarda jest zaprzeczeniem wymowy tej piosenki. A ja zawsze - i na rocznicy Gdyni i Gdańska, pod krzyżami, - śpiewałam „z czerwoną kokardą” i nikt nawet nie mrugnął okiem. Bo znaczenie miała sama piosenka, fakt, symbol. Są takie piosenki.



- Krytycy wybrali panią najlepszą aktorką stulecia polskiego kina.

- Tak, tak - nie było kogo wybrać. - Żartuje pani, że cieszy się, iż ogłoszono to za pani życia, ale czy takie wyróżnienie nie paraliżuje przed każdym kolejnym występem?

- To ciężki. Coraz bardziej boję się wyjść na scenę, czuję coraz większą odpowiedzialność przed każdą premierą. Wydaje mi się też, że ludzie oczekują ode mnie czegoś nadzwyczajnego, a ja im tego nie mogę dać, bo nie jestem w stanie przeskoczyć samej siebie. Staram się na to wszystko patrzeć trzeźwo i nigdy żadna nagroda, pochwała czy recenzja tak naprawdę nie zmieniały mojego spokojnego, rytmicznego trybu pracy. Myślę, że logiczne i jak najprostsze wysnuwanie wniosków ze wszystkich rzeczy, które mnie spotykają, jest najlepszą drogą do sukcesu. Na-

W piątek, 23 kwietnia br., o godz. 20.30, Krystyna Janda wystąpi w Akademii - Klubie Piasta w Rzeszowie. Na koncert zapraszają „Nowiny” oraz Modex - autoryzowany przedstawiciel Plus GSM.

wet gdy coś jest oceniane źle, to wiem, dlaczego tak się stało, dlaczego zrobiłam taki wybór a nie inny i biorę za to odpowiedzialność. Już mam tyle lat i pracuję tak długo, że widziałam różne rzeczy i jak różnymi kryteriami się je mierzy, jak często ocena jest dziełem przypadku i chwili emocji. Myślę, że ja nie mogę podlegać takim emocjom, że powinienam zwyczajnie przygotowywać rolę za rolę, wiedzieć dlaczego robię tak a nie inaczej. Kryteria się zmieniają, być może kiedyś moje gusta tak dalece się rozminą z kryteriami publiczności, że przestanę pracować, bo już nikt nie będzie mnie chciał oglądać. Ale póki co - wszystkie sale są pełne.

- Pani babcia umierając powiedziała z żalem: „a Krysiu została aktorką”. Czy myśli pani, że po tych sukcesach zmieniałaby zdanie?

- Kiedyś aktorek nie wpuszczano się do domu i nie chowało w świeconej ziemi. Myślę, że dla babci byłby to zawsze żenujący fakt.

- Bez względu na zaszczyty i uwielbienie publiczności?

- Bez względu. Dlatego, że ona uważała, iż ten zawód jest czymś gorszym,

upokarzającym, szkodzącym dobremu imieniu rodziny.

- Ponoć najlepsza polska aktorka na „Weselu” Wyspiańskiego całowała się z chłopakiem tak namiętnie, że wyrzuciła rząd krzesel, a na „Dziadach” Mickiewicza z Trelą w roli Konrada zasnęła i spała do tego momentu, gdy obudził ją sceniczny piorun. Nie cenila pani w młodości wielkiej narodowej dramaturgii!

- Cenila. Ale wtedy byłam w Krakowie z wycieczką szkolną, a żeby kosztowała taniej, nie zamawialiśmy hotelu, tylko całą noc jechaliśmy pociągiem, a potem cały dzień zwiedzaliśmy miasto. Na koniec wybraliśmy się na „Dziady”. Byliśmy tak wykończeni, że zasnęlibyśmy, żeby nie wiadomo co było na tej scenie.

- A potem na egzaminie do szkoły teatralnej mówiła pani o strasznie rozbuchanej wiośnie i czytała pani erotyki patrząc w oczy Andrzejowi Łepickiemu.

- To był „Dytyramb o wiośnie” i listy Gabrieli Zapolskiej. To tylko na tym polega, że zawsze byłam osobą w jakimś sensie niekonwencjonalną, że miałam odwagę reagować i mówić prawdziwie...

- ... otwarcie mówi pani, że napis „Solidarność” kojarzy z Mickiem Jaggerem...

- Mój kolega, z którym siedziałam w ławce w liceum, Jurek Janiszewski, bez przerwy pisał w zeszytach tym liternictwem nazwisko Micka Jaggera, bo go uwielbiał. Potem jak zobaczyłam legendarny napis „Solidarność” na ulicach, to coś mi to przypominało. Okazało się, że to jego napis. On mieszkał koło Stoczni Gdańskiej i kiedy w nocy przybiegli do niego związkowcy, bez namysłu napisał „Solidarność” tym samym liternictwem, które znałam z licealnego „Micka Jaggera”. A potem nazwali to gdańskim gotykiem.

- Pani marzeniem było zagranie u boku Jerzego Stuhra w komedii romantyczno-miłosnej. I zdaje się, że to się spełnia, ponieważ po premierze „Marleny” wyjechała pani, by zagrać jego partnerkę.

- Ale to nie jest komedia, to tekst współczesny, gdzie gram dwie bardzo ładne i ważne role w spektaklu telewizyjnym, który Jurek reżyseruje. Ale to nie są postacie komediowe. Zobaczymy, jak nam pójdzie.

- Wystąpiła pani w przedostatnim w tym wieku Przeglądzie Piosenki Aktorskiej, opowiadała na nim historię piosenkarki symbolicznej dla XX wieku. Jaka będzie piosenka literacka w XXI?

- Myślę, że w tej chwili zachodzi poważna zmiana pokoleniowa, przyspieszona przez zmiany społeczne i polityczne. Wszyscy czekają, że pojawią się następcy, choć nie naśladowcy Agnieszki Osieckiej, Wojtki Młynarskiego. Że będą równie zdolni, ale wyrażą pragnienia i problemy tych nowych pokoleń. Bo jednak, co by nie mówić, wszystkie piosenki Agnieszki, Wojtki czy Jeremiego Przybory opowiadają o innych czasach.

- O nowych będzie opowiadał rap i techno?

- Być może, ale to już nie nasza sprawa, ja też należę do tego pokolenia, które odchodzi - zresztą nie chciałabym w żadnym sensie i w żaden sposób dostosowywać się do nowych czasów. Mnie to nie interesuje, to nie jest mój świat.

- Ale pani dzieci będą słuchać techno...

- Tak, i wcale nie mówię, że to gorzej czy lepiej. Tylko niedobrze, że nowe piosenki są tak słabe, jeśli idzie o stronę literacką. Jeśli chodzi o wyraz i wymowę tego, o czym śpiewają, są często wspaniałe, ale ubrane jest to w formę co najmniej ubogą. Ale i język codzienny stał się ubogi. Polski język jest odarty z wieloznaczności, jest jednoznaczny i brutalny.